

TEGO NIE MOŻNA ZAPOMNIEĆ ...

Sobota 20 stycznia 1945 roku minęła sześciotysięcznej rzeszy więźniów obozu koncentracyjnego Fünfteichen w radosnym podnieceniu i oczekiwaniu wielkich wydarzeń. Zdenerwowanie i widoczny strach hitlerowców utwierdzały nas w przekonaniu, że zwycięska ofensywa wojsk radzieckich posuwa się szybko naprzód. W tym dniu nocna zmiana została cofnięta od bramy obozowej i nie poszła już do pracy. Długo w nocy trwały ożywione rodaków rozmowy, wszystkim snuła się w myślach z takim utęsknieniem oczekiwana wolność.

W niedzielę 21 stycznia o godz. 4 rano wyraźny huk salw artyleryjskich podrywa wszystkich na nogi. W serce każdego więźnia wstępuje coraz silniejsza nadzieja, że wyzwolenie już blisko. Każda salwa stanowi w uszach więźnia radosny śpiew, zwiastujący wolność. Niestety, następujące po sobie wydarzenia przerażają nas. Bestie spod znaku swastyki nie chcą wypuścić ze swych szponów uciemiężonych ofiar, obmyślają plan zagłady obozu i ewakuacji. Następuje selekcja rewiru. Więźniowie chorzy i słaniający się na nogach, odziani w nędzne łachy, zostają przydzieleni na bloki. Ciężko chorych pozostawiono.

O godzinie 12 wycie syreny alarmowej ściągnęło więźniów na plac apelowy. Wściekłe krzyki blokowych, kapów oraz blockführerów z psami wypędzają więźniów z baraków. Przed bramą i wokół obozu cały komplet załogi SS oraz dodatkowo przydzielonych około 200 bandytów z ukraińskiej SS-Galizien, uzbrojonych w ręczne karabiny maszynowe. Krótkie ostrzeżenie ze strony raportführera, że ktokolwiek będzie próbował ucieczki, ten będzie zastrzelony. Pochód-widmo, otoczony SS-manami, wyrusza przez zaśnieżone pola w kierunku Katowic. Towarzyszy nam w górze stado kruków i gawronów.

Przy dwudziestostopniowym mrozie przeprowadzono całą kolumnę przez zamrożone koryto rzeki Odry. Okrążamy Wrocław od południa i półkołem kolumna idzie w kierunku zachodnim. O zmierzchu zostajemy wprowadzeni na dziedziniec dużego majątku obszarniczego, kolumna formuje czworobok, po czym pada krótka komenda "hinlegen!" /kłaść się/. SS-mani ustawili co parę kroków karabiny maszynowe. Kosiaki dają im trochę ciepła i światła, ułatwiającego pilnowanie nas. My zaś, skuleni, ściśnięci, przeżywamy koszmarną noc. Mimo potwornego zmęczenia dość szybkim, parogodzinny marszem, nie możemy zasnąć. Łączymy się przeto w grupy po 3-4 osoby, kładąc na ziemi, przeważnie ośnieżonej, jeden lub dwa koce, a resztę się przykrywając.

O świcie pada komenda "auf!", ale niestety nie wszyscy ją słyszą. Nie pomagają uderzenia kolbami ani szczucie wilczurów. Wielu więźniów zmarło z zimna, część zmogła choroba, na którą zapadli jeszcze przed wymarszem z obozu. Wyznaczona przez SS-manów grupa więźniów zbiera zmarłych, zakopując ich ciała częściowo w ziemi, a częściowo tylko przysypując śniegiem.

Pochód rusza w dalszą drogę. Szosy zajęte są przez cofające się oddziały wojsk niemieckich, drogi zatarasowane przez uciekinierów cywilów. Nas prowadzą polnymi drogami lub po prostu przez pola, co ułatwia znacznie SS-manom szybsze pozbywanie się uciążliwego balastu, jakim są dla nich konwojowani więźniowie. My zaś, zmęczeni, przemarznięci i wygłodzeni, gorączkujący, potykamy się coraz częściej. Padają dalsze ofiary. Coraz częściej słychać wy-

strzały, które wydobywają ze ślaniających się więźniów ostatki sił. Sprawnie i skrupulatnie działa grupa morderców. Wlokących się i padających ze zmęczenia i chorób więźniów dobijają strzałem w tył głowy z pistoletu lub karabinu. Zwłoki przysypuje się śniegiem, gdyż na kopanie grobów nie ma czasu, a ponadto ziemia jest mocno zmarznięta.

Idziemy dalej. Jeden drugiego prowadzi pod ramię i podtrzymuje: syn ojca, brat brata, przyjaciel przyjaciela, silniejszy słabszego, dodając im otuchy i pocieszając. Pocieszamy się zresztą wzajemnie, że jeszcze jeden dzień - dwa i będzie po wszystkim. Dzielimy się ostatnimi okruchami zmarzniętego chleba. Jakże trudne i dalekie jest jednak spełnienie naszych marzeń. Nadchodzi druga noc - spędzona w podobnych a może jeszcze gorzych warunkach. Efekty spania pod gołym niebem są bardziej dotkliwe niż w dniu poprzednim. Liczba trupów jest znacznie większa. Idziemy dalej.

Na skraju polnej drogi widać kopiec zmarzniętych na kamień bureków cukrowych. Więźniowie, nie bacząc na strzały SS-manów, na bicie kołbami, szczucie psami, rzucają się, by je zdobyć.

Na rozstaju drogi stoi samotny krzyż. Dochodzi do niego resztką sił młody chłopiec, dziecko może szesnastoletnie, spogląda w górę, szukając jakby ratunku. Ale pada strzał i kończy to młode życie.

Trzecią noc spędzamy w stodołach dużego majątku ziemskiego. Rano przed wymarszem kilkunastu więźniów zakopuje się w sianie. Niestety czujne wilczury wyszukują wszystkich. Ustawieni pod jedną ze stodoł, giną od kul karabinowych. Czwarty dzień marszu zbliża nas do znajomych okolic. Mijamy położony w oddali kamieniołom, a za chwilę widać komin krematorium w Gross-Rosen. Dochodzimy do tej potwornej kaźni, w której straciliśmy część naszego zdrowia, a wielu z nas życie.

Obóz główny jest zapełniony transportami ewakuacyjnymi z Oświęcimia, dla nas nie ma już miejsca. Ale jeszcze nie w pełni obłożony jest nowo wznoszony obóz, tzw. "oświęcimski". Baraki z cegły nie wykończone, bez drzwi, bez okien i podłogi, bez garstki słomy - oto nasze nowe lokum. Jako wyżywienie otrzymujemy raz dziennie trochę wodnistej zupy, i to nie zawsze, gdyż w obozie panuje wielki rozgardiasz i bałagan. Warunki sanitarne okropne, szerzy się wszawica i choroby. Stoły trupów narastają, a przybywają coraz to nowe komanda.

Po czternastu dniach od naszego przybycia, tj. 8 lutego 1945 r. rozpoczyna się ewakuacja obozu Gross-Rosen. Część więźniów idzie pieszo w kierunku południowo-wschodnim, w grupach po około 2000 ludzi. Większość zostaje załadowana do pociągów towarowych po mniej więcej 2000 osób na każdy pociąg. Do otwartego wagonu-węglarki ładowano 150 więźniów, którzy w pozycji siedzącej mogli zajmować tylko dwie trzecie wagonu, jedną trzecią - środek - zajmowało 4 SS-manów ze swoim wyposażeniem służbowym i prywatnym. Ciężota, zwłaszcza nocą, kiedy nie wolno było się podnieść, okropna.

Całe wyżywienie na drogę to pół kilograma chleba, który większość zjadła od razu, szybko więc zaczął doskwierać głód, ale przede wszystkim pragnienie. W drodze nie otrzymujemy żadnego napoju, chociażby tylko zimnej wody. Prawie każdy więzień ma gorączkę, więc pragnienie jest tym bardziej dokuczliwe. Ponadto dzieją się rzeczy straszne. Kapo, blokowi maltretują nas, biją dla przyjemności. Kto uklęknie lub upadnie, nie ma już sił na podniesienie się i w ciasnocie ginie zaduszony. Wszy zbiera się całymi garściami

mi, ale tak, aby nie widział tego SS-man, gdyż skończyłoby się to śmiercią.

Dojeżdżamy do Weimaru. Mamy być ulokowani w Buchenwaldzie, lecz ten obóz już jest wypełniony. Ilość trupów w każdym wagonie wzrasta, stoimy coraz luźniej, ale wyżej. Pociąg w jednym z większych miast, bodajże w Lipsku, zatrzymuje się na dłuższy czas, zjeżdża na bocznice. Następuje segregacja według proporcji: dwa wagony trupów, jeden wagon żywych. SS-mani pracują, dobijając mużłmanów. Ginie wielu kolegów i znajomych jeszcze z Pawiaka. Z sąsiedniego wagonu na czworakach wychodzi patrząc błędnym wzrokiem mój kolega z celi na Pawiaku, działacz lewicowy z Legionowa, Józef. Chcę mu udzielić pomocy, lecz on szeptem prosi: pozdrów moją rodzinę, powiedz, że nie wytrzymałem. Stojącemu obok SS-manowi daje znak, aby go dobił. Na moje perwazje, aby się nie poddawał, nie ma już siły odpowiedzieć. Jego mgliste oczy zdają się mówić "to wszystko nie ma już sensu".

Pociąg rusza dalej, by po kilku dniach dowieźć się do Mauthausen w Austrii. Otwierają się drzwi wagonów, więźniowie, nie mając już siły, by je opuścić staczają się jak kłody, popędzani szturchańcami i kopniakami. Na ziemi resztki topniejącego śniegu i wielkie kałuże wody, którą piją umęczeni ludzie. SS-mani przy pomocy kolb i kopniaków formują kolumnę marszową, po czym ruszamy w kierunku obozu. Z tyłu i z boków dobiegają wystrzały. W ten sposób dobija się wyczerpanych. Silniejszym dodaje otuchy nadzieja, że w obozie będą nieco lepsze warunki, które pozwolą nam przetrwać do końca.

Nareszcie brama obozowa i plac apelowy. Temperatura spada do minus dziesięciu stopni, wieje ostry, przenikliwy wiatr, a my stoimy w kolejce przed łaźnią. Nad ranem, w grupach po 50 osób, wchodzimy do łaźni, gdzie oczekuje nas prysznic z prawie gotującej się wody. Skóra schodzi całymi płatami, a z nią wszystkie robactwo. Smarowanie pachwin i głowy cuchnącym płynem dezynfekcyjnym dla koni i ... w jednej koszulinie na mróz. W tych warunkach, jak się później okazało, zapalenie płuc zdzięsiatkowało stan osobowy więźniów. Umiera m. in. dwóch moich przyjaciół, aresztowanych wraz ze mną. Samochody, jeden za drugim, przewożą przez trzy doby zwłoki więźniów ze stacji kolejowej do krematorium. Płomienie ognia widoczne są z kominów krematoryjnych, a swąd spalanych ciał czuć nie tylko na terenie obozu. Ponieważ krematoria nie nadążają, komendant obozu rozkazuje kopać olbrzymie doły i zakopywać w nich sterty trupów na metr i wyżej.

Jest druga połowa lutego i dla pozostałych jeszcze przy życiu więźniów zaczyna się kolejny etap obozowej vegetacji, przydział na bloki Zugangów, a następnie do komand pracy. Przez pewien czas przewozimy w piątkę z krematorium prochy spalonych. Układamy je w równe przyzmy kompostowe w obozowym ogrodnictwie z przeznaczeniem na nawóz pod warzywa i kwiaty.

Wreszcie zbliża się maj 1945 roku. Do obozu przenikają coraz pomyślniejsze wieści, natomiast wśród SS-manów wyraźnie narasta niepokój. Praca w komandzie obsługi i naprawy samochodów, do którego zostałem przydzielony, trwa szesnaście i więcej godzin na dobę. Wszystkie pojazdy muszą być sprawne. SS-mani szykują się do ucieczki, a nas znów ogarnia lęk, czy nas nie wymordują.

3 maja załoga SS-mańska ucieka, a 5 maja 1945 roku zostajemy uwolnieni przez VI Armię Amerykańską.

Niestety, nieliczna garstka pozostałych przy życiu więźniów z byłego podobozu grossrozeńskiego Fünfteichen była już u kresu

żywota. Wystarczy wspomnieć, że ważyłem wówczas 37 kg, a w podobnym stanie była zdecydowana wśród nas większość. W kilka dni po oswobodzeniu obozu zebraliśmy się, aby ustalić liczbę pozostałych przy życiu, i okazało się, że jest nas około 200 osób, a więc tylko 10 procent z liczby transportowanej z Gross-Rosen do Mauthausen. Ilu pozostało przy życiu więźniów byłego komanda Fünfteichen trudno określić, gdyż byli oni ewakuowani z Gross-Rosen do kilku obozów /m. in. do Buchenwaldu, Flossenburga, Dachau, Dora-Mittelbau i innych/.

Szlak naszej Golgoty,znaczony tysiącami mogił i przesłaknięty krwią męczenników-bohaterów, leży na wyzwolonej ziemi dolnośląskiej i jest groźnym ostrzeżeniem dla wszystkich. Niech śmierć naszych przyjaciół i kolegów, ojców i braci, krwawiące z bólu serca rodzin, które straciły swych bliskich, zobowiążą nas do pamięci o Nich i do ciągłego czuwania. Ich tragedia niech zawsze przypomina o grożącym w dalszym ciągu niebezpieczeństwie wojny.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.13



Droga ewakuacji więźniów Fünfteichen
do Gross-Rosen w styczniu 1945 roku
Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.1.9

FÜNFTEICHEN - STYCZEŃ 1945

Po obozie krążą coraz bardziej optymistyczne wieści. Kolega Marian Kossowski z Sandomierza, który w Zakładach "Bertha-Werke" ma dobre stosunki z cywilnymi majstrami czeskimi, przynosi do obozu gazety niemieckie. Dowiadujemy się z nich, że 12 stycznia armia radziecka rozpoczęła ofensywę znad Wisły. Pułkownik Stanisław Swoboda-Lubczyński, były zawodowy oficer, analizując komunikaty naczelnego dowództwa niemieckiego informuje, że ofensywa Armii Czerwonej przybiera gigantyczne rozmiary, przynosząc duże sukcesy.

Jesteśmy pełni optymizmu, ale płk Swoboda jest realistą. Przypomina nam, że w kasie pancerniej każdego komendanta obozu znajduje się dokument oznaczony napisem "streng geheim" /ściśle tajne/. Jest tam rozkaz Hitlera, który wyraźnie stanowi: "Żaden więzień obozu koncentracyjnego nie może dostać się żywy w ręce nieprzyjaciela". Jak wykona ten rozkaz "swego wodza" Otto Stoppel, komendant obozu? To przecież jego wierny żołnierz! Walczył w elitarnych jednostkach SS, wchodzących w skład VI armii gen. von Paulusa, gdzie został ranny w rękę. Przewieziony samolotem do szpitala w Berlinie, po wyleczeniu, nie mógł już wrócić do swojej armii, gdyż była ona wraz ze swym dowódcą w niewoli.

Dzień 20 stycznia. W obozie słychać coraz wyraźniej strzały dział polowych, co świadczy, że front już blisko. W grupie więźniów, w której są m. in. płk Swoboda-Lubczyński i Jasio Nowakowski z Radomia - również zawodowy wojskowy - zastanawiamy się nad szansami obrony, gdyby zaszła taka potrzeba. Jest z nami również Leszek Piotrowski, który pracuje jako kalifaktor u komendanta Stoppela. Cieszy się jego zaufaniem, a dla nas jest idealnym informatorem. Prosimy go, aby za wszelką cenę dowiedział się, jakie są plany komendanta w stosunku do więźniów. Jest to dla nas sprawa zasadnicza!

Jeszcze tego samego dnia Leszek informuje, że Stoppel chce zostawić obóz z więźniami i wycofać załogę SS-manów. Niestety w dniu następnym otrzymujemy od Leszka nową, przykrą informację. U komendanta obozu była podobno delegacja więźniów niemieckich, którzy prosili, aby "nie zostawiać ich z tymi polekimi i ruskimi bandytami, bo jakkolwiek są więźniami, to jednak płynie w nich ta sama niemiecka krew". Zdawali sobie sprawę z tego, ile krzywd i nieszczęść wyrządzili więźniom innych narodowości, i bali się konsekwencji. W tej sytuacji komendant obozu podjął decyzję o ewakuacji całego obozu do Gross-Rosen.

21 stycznia 1945 roku ponad sześć tysięcy więźniów, w kolumnie otoczonej przez wartowników SS, z których część posiada psy, wychodzi z obozu. Na rowirze pozostaje około 200 chorych, którzy nie mogą już chodzić o własnych siłach. Płk Swoboda sugeruje, abym z moimi kolegami szedł na końcu kolumny, w środku są Jasio Nowakowski i Tadek Smarzewski ze swoimi blokami. Jest bardzo zimno, poniżej 20 C, drogi pokryte grubą warstwą śniegu.

Gdy przechodzimy przez zamarzniętą Odrę, podchodzi do nas Stoppel i każe, aby na sanki należące do SS-manów i ciągnięte przez nas, zabrać wskazanego przez niego więźnia, gdyż jest słaby i nie może dalej iść. Jak się okazało, był to Żyd austriacki, b. dyrektor teatru w Wiedniu, świetny aktor, który w obozie Fünf-

teichen zorganizował teatr dla SS-monów. Po raz pierwszy w czasie mojego pobytu w obozach usłyszałem, że SS-man chce ratować więźnia, i to Żyda. Komentujemy to zdarzenie między sobą jako radykalną zmianę w postępowaniu oprawców w stosunku do więźniów. Ale o tym, że byliśmy w błędzie, mogliśmy się przekonać już za chwilę.

Krańcowo wyczerpani wleczeni się coraz wolniej. Coraz częściej też padają najsłabsi, a gdy tylko minie ich kolumna, natychmiast przy leżącym czy siedzącym jeszcze, zjawia się zwiastun śmierci. Jest nim podoficer SS Gallasch, który zawsze w jednakowy sposób wykonuje swoje zadanie. Te same ruchy, gdy zbliża się do swojej ofiary i strzela w to samo miejsce - w tył głowy. Niency, a tym bardziej SS-mani, są dokładni w wykonywaniu swojej roboty, bez względu na to, jaka ona jest.

Wieczorem zatrzymują nas na nocleg - będziemy spali w jednym z dużych majątków obszarniczych. Ma on bardzo dogodny dla SS układ budynków gospodarczych. Tworzą one kwadrat, między nimi są tylko trzy przejścia, a w środku znajduje się wielkie podwórze. Niejeden z nas myśli, jakby tu uciec, ale sprawa nie jest prosta. Wszystkie trzy przejścia, jak i całe podwórze, obstawione są gęsto wachmenami, gotowymi do strzału, gdyby ktoś z nas próbował się podnieść. My zaś, zmarznięci, przytulamy się coraz mocniej do siebie, aby straty własnego ciepła były jak najmniejsze, aby jakoś do rana przetrwać. Większość więźniów śpi na garstkach słomy wyrzuconej ze stodoł, przykryta kocem zabranym z obozu Fünfteichen. Nielicznym tylko udało się wejść do obory, stajni lub stodoły, które były przeznaczone dla funkcyjnych.

Gdy zrobiło się widno, po komendzie "antreten", idziemy dalej. Na miejscu pozostają słabi i zmarznięci. Pozostaje także część załogi SS oraz utworzona z więźniów grupa robocza. SS-mani penetrują dokładnie, przy pomocy psów, wszystkie budynki gospodarcze, wyciągają ukrytych w nich więźniów i likwidują na miejscu. Ten sam los spotyka tych, którzy z braku sił nie mogą już podnieść się z ziemi. Dla zatarcia śladów ludobójstwa, zorganizowana przez SS-manów grupa więźniów porządkuje podwórze, zakopując zwłoki zlikwidowanych i zmarzniętych poza terenem "gościnnego" gospodarstwa.

Nasza kolumna posuwa się dalej, ale na trasie pozostaje coraz więcej więźniów, i to ludzi młodej krwi, którym nie starcza już sił do kontynuowania marszu. W pewnej chwili zjawia się przy nas Stoppel, odwołując na bok Leszka. Idąc kilkanaście metrów za kolumną, butny do tej pory legerkomendant coś Leszkowi tłumaczy i opowiada. Po godzinie wiemy, o co szło w tej rozmowie. Stoppel poruszał w niej różne tematy, o wojnie, o polityce, wyrażając przy tym niezadowolenie, że on, frontowiec, musi na zapleczu wykonywać inne czynności. Najbardziej żał mu było ginących ludzi, szczególnie młodych, przed którymi dopiero przyszłość. W następnym dniu, już nie tylko wobec Leszka i nie tak dyskretnie jak poprzednio, załował padających z wyczerpania ludzi.

Komentujemy to między sobą jako planowe stwarzanie dla siebie alibi, że wykonywał tylko rozkazy swych przełożonych, ale oczywiście to on kochał tych, których SS-mani mordowali. W czwartym dniu naszej gehenny sprawa się wyjaśnia i Stoppel pokazuje swe prawdziwe oblicze. W rozmowie z Leszkiem Piotrowskim powrócił do tego tematu, że szkoda mu młodych ludzi, ale tym razem uczynił to w kontekście zmniejszania się ilości rąk do pracy. Twierdził, że armia niemiecka już od 1939 roku walczy i żołnierze po zakończonej wojnie będą musieli odpocząć, więc kto będzie na nich pracował, jak zginą ci młodzi ludzie? Stoppel ukazał się w tym momencie nie tyl-

ko jako współzabójca ludzi, ale jako cyniczny i wyrachowany kalkulator.

Tymczasem w kolumnie dzieją się rzeczy straszne. Na drodze padają już nie tylko starci i najsłabsi, ale także chłopcy, którzy na początku naszej cierniowej drogi czuli się jeszcze względnie dobrze. W pamięci mojej pozostał obraz chłopca z powstania warszawskiego. Gdy zauważyłem, że pozostaje w tyle kolumny, zacząłem mu tłumaczyć potrzebę maksymalnego wysiłku, bo wojna zbliża się do końca, a my będziemy wolni. Na to on płacząc, pokazuje mi swoją pierś i mówi: "Tu jestem zdrowy, ale nogami nie mogę poruszać". W pewnym momencie, z wielkim wysiłkiem próbuje przedostać się przez rów do krzyża, stojącego po drugiej stronie. Niestety, nie starcza mu sił i przewraca się w rowie. Wiedząc, co go czeka za chwilę, naciąga płaszcz na głowę, gdyż nie chce widzieć mordercy. Ale SS-man jest bezwzględny. Ściąga płaszcz i strzela z pistoletu w tył głowy. Tak robi znany nam spec Gallasch.

Ale śmierć słabszych fizycznie więźniów przychodziła do nich również z najmniej oczekiwanej strony. Oto funkcyjny więzień imieniem Wasyl - Ukrainiec, sympatyk gen. Własowa, wraz ze swoją grupą napadali na śpiących, zabierając im resztki chleba. Chirurg Jan Pierzchała z Wrocławia, który był świadkiem takiej sceny, nie może tego opowiadać spokojnie. W czasie tego marszu-śmierci zginął co trzeci więzień, co oznacza, że około 2000 więźniów, którzy wyszli 21 stycznia 1945 roku z obozu Fünfteichen, nie dotarło do Gross-Rosen.

Po wojnie dwaj znani dziennikarze wrocławscy, Andrzej Bułat i Wacław Dominik, postanowili przybliżyć te fakty naszemu społeczeństwu. Z ogromnym nakładem pracy, w oparciu o setki dokumentów, wizje lokalne, przeprowadzane przy współudziale więźniów - uczestników tych tragicznych dni, napisali książkę pt. "Aż stali się prochem i rozpaczą". A Stanisław Kubiak nakręcił reportaż okolicznościowy, który nadała telewizja wrocławska w 1981 roku. Pozostały więc dokumenty, które pozwolą przyszłym pokoleniom pamiętać i wspominać o tragedii więźniów Fünfteichen w styczniu 1945 roku.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.12

OD KRAT WIĘZIENNYCH^{x/}

Gross-Rosen

Do Gross-Rosen przyjechaliśmy ledwo żywi w Wielką Sobotę. Formalności wstępne, kąpiel. Około godziny 2 w nocy znaleźliśmy się w baraku. Przesiedzieliśmy, jak kto mógł, do rana, znużeni do najwyższego stopnia i głodni. O godzinie 7 dnia następnego, tj. w Wielką Niedzielę, otrzymaliśmy pierwsze od 3 dni pożywienie: po 1/2 litra wody zabarwionej otrębami. Jest to popularna u Niemców potrawa zwana "melka". Święta Wielkanocne były smutne i głodne. Do Gross-Rosen przywieźliśmy tyfus plamisty. Spowodował on 6-tygodniową kwarantannę. Byłby to dobry wypoczynek, lecz straszna ciasnota /brak miejsca do snu/ i długotrwałe apele na polu nago, na zimnie, zdecydowały, że był to okres b. przykry. Bicie przez esesmanów i sprzedajnych heftlingów również dało się we znaki. Wielu z nas zmarło od pobicia. Sławnym tu był Iwan - jeńiec rosyjski, który opowiadał, że z 18 000 jego współtowarzyszy pozostał tylko on i jeden kolega. Z dalszych informacji wynikało, że ten to właśnie Iwan był głównym narzędziem mordów w ręku Niemców. Zginął on w marcu 1945 r. z ręki Rosjan w obozie Mauthausen.

W Gross-Rosen cały nasz transport podzielono na komanda kierowane do różnych odległych od siebie miejscowości. Ja trafiłem do fabryki armat Kruppa w Markstadt /po polsku w Laskowicach/, 20 km na wschód od Wrocławia. Pracowałem tam do 20.I.45 r. jako sekretarz majstra w dziale luf armatnich. Praca czystsza i lżejsza niż przy maszynie. Przydział do Kruppa przyjąłem z zadowoleniem. Tyle się słyszało o tych zakładach. Chciałem naucznie poznać organizację pracy w takim wielkim przemyśle, zdobycze techniczne, tajemnice budowy groźnej broni, no i samych Niemców. /Znajomość Niemców tylko z życia w obozie nie można uważać za dokładną i wszechstronną/.

19.V.44 r. o godzinie 3 rano wyruszyliśmy pieszo z obozu Gross-Rosen do stacji kolejowej tejże nazwy, odległej o 4 km. Ubrano nas w nowe parczane pasiaki. Piękny poranek, drzewa w pełni kwiecia, świeżo, chłodno. Przy odejściu dostaliśmy po 10 ½ kg chleba i 2-3 dkg margaryny, pożywienie na 30 godzin jazdy koleją. Warunki jazdy, jak zwykle, wprost nieludzkie: cały czas na nogach, o głodzie, bez wody, bez możliwości opuszczenia wagonu.

20.V.44 r. o godzinie 9 przybyliśmy do obozu Fünfteichen, odległego od zakładów Kruppa o 4 km. Obóz ten liczył 5 000 więźniów, zatrudnionych w tychże zakładach.

Jak zwykle dokuczliwe formalności wstępne, kąpiel, strzyżenie, i pod wieczór do baraku - oczywiście bez jedzenia. Z wyglądu miejscowych więźniów staramy się odgadnąć warunki bytowania. Spostrzeżenia ujemne: mizerni, zmęczeni, brudni. Ubranie i bielizna wprost czarne od brudu i lepkie. Odżywianie niżej wszelkiego minimum.

^{x/} Józef Kobyliński, Od krat więziennych... w: Wspomnienia z niemieckich obozów koncentracyjnych. Praca zbiorowa, napisana przez byłych więźniów politycznych niemieckich obozów koncentracyjnych. Ebensee, 1946 - Ośrodek polski b. więźniów OK - Camp 400, górna Austria, s. 151. Wybór fragmentów - A. Romanow.

Szpinak z piaskiem i brukiew. Praca w fabryce 12 godzin, zbiórki, apele i droga do fabryki oraz powrót 6 godzin. Na spoczynek 5-6 godzin. Kiedy odliczy się prace porządkowe w baraku oraz alarmy lotnicze wówczas na spanie wypadnie przeciętnie 3-4 godziny na dobę. Śmiertelność b. duża: dziennie około 1 procent całego stanu. Perspektywa niewesoła.

W zakładach Kruppa

21.V.44 r. Pierwszy dzień u Kruppa. Są to zakłady przeniesione rękami polskich więźniów z Essen, po zbombardowaniu w r. 1942. Wykończono już 6 hal, gdzie na 2 zmiany pracuje około 7 000 ludzi. Dalsze hale w budowie. Wg założenia, całość zakładów miała wynosić 20 dużych hal i po wojnie również miała być obsługiwana przez więźniów. Przystąpiono już do budowy baraków dla kilkudziesięciu tysięcy niewolników.

Dziś nie ma już większego osiedla w Niemczech, gdzie by nie było obozu. W przyszłości, przy reżimie hitlerowskim, byłiby tylko więźniowie i policjanci. Do ludzi wolnych należałoby parę milionów hitlerowców. Ładna perspektywa! Z nastawienia, jakie można zaobserwować, nie ma mowy, by obecni więźniowie mieli być kiedykolwiek zwolnieni z obozów. O godz. 4 popudka, 1/2 litra wody z otrębami, 15 dkg chleba + 25 dkg chleba do kieszeni jako obiad, zbiórka, apel i o godzinie 6 wymarsz zmiany dziennej. Zmiana wynosiła około 2 000 więźniów. Eskortują esesmani i ich psy, które niejednego z nas kaleczą w czasie drogi. W ten sposób SS-mani dążą do utrzymania zwartości kolumny w czasie marszu, zapobiegają ewentualnej ucieczce więźniów. Droga uciążliwa, zwłaszcza podczas błota i podczas marszu porą nocną. Jako nowi, przeznaczeni jesteśmy na halę V, gdzie przydzielono nas do szkoły. Uczą tu bardzo szybko. Np. profesor uniwersytetu, lekarz czy astronom po 2 tygodniach nauki odchodzi do pracy na maszynie jako wykwalifikowany tokarz, frezer, szlifierz itp. Ten sam stopień doskonałości osiągać ludzie umiejący zaledwie czytać i pisać.

Poszczególne hale mieszczą różne działy produkcji, a powstałe części spotykają się w montowni. Zakłady Kruppa produkują miesięcznie 400-450 armat połówek i kilkanaście dalekonośnych, ciężkich armat. W rozbudowie dział artylerii przeciwlotniczej.

Rzuca się tu w oczy wielka ilość kierowników, nadzorców, poganiaczy. Robotników cywilnych około 20-25 procent - przeważnie Czechi i Francuzi. Reszta to więźniowie, głównie Polacy i Rosjanie. Dyrektorów jest z pięć stopni: mają oni zastępców, asystentów, nadmajstrów, majstrów, robotników przodowników, ich zastępców. Cała zgraja! A wszystko pogania ledwo żywego z głodu i zmęczenia więźnia. Często dochodzi do bicia i kopania. Wielu więźniów umiera na skutek obrażeń spowodowanych biciem. Prócz władz fabrycznych więźniowie mają jeszcze i własne, tak zwanych kapów. Kapowie to więźniowie narodowości niemieckiej, z reguły przestępcy i sadyści. Tylko takich wybiera się na te stanowiska. Każdy z władców ma prawo życia i śmierci w stosunku do więźniów, toteż los tych ostatnich jest b. ciężki. Gonieni, bici, kopani, głodni, brudni i zmarznięci, niewyspani, pędzą ciężki żywot. Większość pragnie jedynie szybkiej śmierci. O powrocie do rodzin i wolności przestali marzyć. Śmiertelność jest tak duża, że wystarcza parę miesięcy, by człowiek zdrowy i dość silny przeniósł się do wieczności. Bardziej nieszczęśliwych ludzi od więźniów w obozach niemieckich nie ma na świecie.

Po 20 dniach szkolenia zostałem przydzielony na halę IV w charakterze pisarza u majstra w dziale luf armatnich. Majster - wewnątrz Niemiec z Essen, najgorszy u Kruppa - mam pecha. Mam trudności w porozumiewaniu się z nim. Mówi dialektem bawarskim, b. szybko i niewyraźnie. Gubię się wśród setek przeróżnych maszyn i różnorodności robót. Nie znam przy tym nazw technicznych. Początek pracy ciężki. Nie ma u kogo dokładnie się poinformować. Robotnik przodownik, 21-letni Czech z Pragi, postrzelony młodzieńiec, zawsze zagoniony, zresztą niewiele orientujący się w pracy sekretarza.

Własnym dociekaniem pomału wszedłem w tryb swych czynności. Polegały one na odbiorze od robotników prac akordowych, wystawieniu dowodów rachunkowych, notowaniu czasu pracy maszyn, przeszkód w pracy, składaniu meldunków periodycznych, buchalterii, rozrachunku między Kruppem a komandami obozu.

Dziwnym wydaje się, że Zakłady Zbrojeniowe są obsługiwane przez więźniów, pozostawienie których na wolności było niebezpieczne dla Niemiec. Nawet kontrola dokładności obróbki części uzbrojenia, gdzie dokładność wymagana jest do 1/100 mm, wykonywana jest przez więźniów, i to przeważnie Polaków.

Stale się słyszało o zdolnościach organizacyjnych Niemców. Pilnie obserwuję, co się tu dzieje, i przychodzę do przekonania wręcz odwrotnego. Jest tu marnowanie sił ludzkich, a przez to wadliwa organizacja pracy. Nierówność produkcji poszczególnych działów jest przyczyną, że np. dla braku jakiegoś kołeczka montowni nie może złożyć przez cały dzień ani jednej armaty.

Administracja zakładów jest rozbudowana niepomiarnie. Jedni wydają zarządzenia, drudzy zmieniają je, modyfikują. Dezorganizuje to robotnika i obniża wydajność pracy.

Zwróciłem uwagę na to, że dyrektorzy zakładów Kruppa, zamieszkali w odległości 3-5 km od fabryki, przyjeżdżają do pracy rowerami, a więc tak samo jak przeciętni robotnicy. Dlaczego nie limuzyną?

Okazuje się, że zarobki dygnitarzy niemieckich są b. skromne. Np. dyrektor hali /+ 1000 maszyn przy 3000 robotników/ pobiera miesięcznie 700-1000 marek, podczas gdy mój 21-letni Czech robotnik, przodownik-fachowiec, otrzymuje 550 mk. Zwykły robotnik, Niemiec, zarabia tu około 300 mk, obcokrajowiec 200-250 mk. Jak na stosunki polskie rozpiętość płac niewielka. Rzuca się tu w oczy laicyzm niektórych majstrów niemieckich. Niejednokrotnie stawiają oni robotnikom tak niedorzeczne zadania, że wzbudza to śmiech. Przyczyny tego wkrótce zrozumiałem. Większość dyrektorów, majstrów itp. to nie fachowcy, ale ludzie posiadający grubszą gotówkę. Gotówka prowadzi do zakładów Kruppa, a zakłady chronią od wojska. A więc korupcja panuje i u "Übermenschów", i to w rozmiarach większych niż w "bagnie słowiańskim". Np. mój majster jest z zawodu krawcem, tutaj uchodzi za dobrego majstra prawdopodobnie dlatego, że jest energicznym terrorystą.

Więzień, który miał dosyć tytoniu, mógł nic nie robić, otrzymując przy tym premię za wzorową i wydajną pracę. Za butelkę wódki i 100 papierosów można kupić każdego Niemca. Toteż więźniowie, którzy otrzymywali dobre paczki żywnościowe z domu, urządzali się tu wcale znośnie, podczas gdy w tym samym czasie ich koledzy tyśnięcami ginęli z powodu fatalnych warunków.

Charakterystyczna jest tu powszechnie dająca się zauważyć niechęć, z jaką jest wykonywana praca. Poza nieliczną garstką Niemców, którzy przez swą gorliwość pragną utrzymać się w zakładach,

wszyscy inni pracują pod przymusem. A więc niewolnikiem jest więzień Polak, Rosjanin czy Francuz. Takim samym niewolnikiem jest robotnik cywilny Czech, jest ich tu najwięcej, Francuz, Ukrainiec, a nawet Niemiec - niehitlerowiec. Gdy się wczuwam w tę wybitnie niewolniczą atmosferę pracy i gdy sobie uprzytamiam, że sprzymierzeni produkują w atmosferze oddania i dobrych chęci, łatwo jest przewidzieć wynik wojny, nawet wówczas, gdyby zasoby materialne i osobowe przeciwników się równoważyły.

Często rozmawiam z robotnikami Francuzami. Jest ich w moim dziale pięciu, w tym aptekarz, artysta malarz, dwaj subiektów tekstylni i tokarz zawodowy. Wszyscy tutaj pracują przy maszynach jako tokarze. Złapani byli na ulicy, w kinie czy wprost wyciągnięci z łóżka i pod groźbą rewolwerów sprowadzeni do Niemiec. Do więźniów Polaków odnoszą się b. życzliwie. Stosunek Czechów do Polaków jest nieprzychylny - nie mogą przeboleć Zaolzia. Poza tym są zdeklarowanymi rusofilami, a reżim komunistyczny uważają za najlepszy. Z trudnością udaje się ich przekonać, że owa wyidealizowana teoria znacznie traci na uroku po zetknięciu się z nią w praktyce.

Zagadkowe dla nas jest nie bombardowanie zakładów przez Amerykanów. Lotnictwa radzieckiego nie widać zupełnie, pomimo że zakłady Kruppa są im znane. Mamy do nich żal z powodu takiej wstrętności, każdy bowiem alarm lotniczy przynosi nam wytchnienie w pracy i możliwość zobaczenia słońca /wymarsz poza fabrykę/, którego nie widzimy czasem całymi tygodniami.

Administracja Kruppa interweniowała w sprawie odżywiania więźniów, częste bowiem są wypadki, że robotnik pada z wycieńczenia. Może to wpłynie na poprawę wikt, co jest warunkiem naszego "przeżyć lub nie przeżyć". Można sobie wyobrazić, jak pragniemy końca wojny i jak pocieszamy się wzajemnie każdą pomyslną plotką. A tym czasem na ogólny stan 5000 więźniów miesięcznie umiera około 1000 - 1500. Powód - wycieńczenie głodem, długotrwała praca, zimno. Najgłębsza choroba w tych warunkach jest śmiertelna.

Los chciał, że w związku z pracą u Kruppa otrzymałem pierwszą i ostatnią oficjalną w obozie chłostę. Wbrew mej woli zamianowano mnie starszym szyfu /szyf-dział produkcji/. Do obowiązków moich, poza normalnymi, należały: ewidencja więźniów zatrudnionych na szyfie, dopilnowanie zbiorów do apelu i odmarszu, pośredniczenie w zatargach między majstrami i robotnikami cywilnymi a więźniami. Najgorsze było to, że taki nic nie znaczący pionek ponosił odpowiedzialność za uchybienia więźniów na szyfie. Był więc kozłem ofiarnym, na którym skupiała się złość niemiecka.

W połowie czerwca uciekło podczas pracy nocnej dwóch Rosjan, w tym jeden z mojego szyfu. Wyrok niemiecki arcymądry: starszym szyfu wymierzyć po 25 batów. Podobnie po 25 sztuk otrzymają najbliżsi współpracownicy uciekinierów. Wracamy z pracy. Na placu apelowym obozu władze w komplecie - wszyscy zaopatrzeni w tęgie bykowce. Całą zmianę ustawiono w czworobok. Delikwenci musieli osobiście przynieść szafar-stołek. Katami byli: tęgi Niemiec i starszy bloku 5 G, mój ziomek i znajomy z Łucka.

Pierwszym, któremu wymierzono sprawiedliwość, był pewien Izraelita - wrzeszczał przeraźliwie. Drugim byłem ja. Całą siłą woli przywołałem do pomocy, by z godnością znieść to upokorzenie. Uderzenia były b. bolesne, zwłaszcza tęgiego Niemca. Czułem, że ciało rozrywane jest na strzępy. Zaciąłem zęby. Liczę razy 15, 16, 20, 25. Pada 26 raz i słyszę: "genug"! Był to głos starszego obozu. Wstałem zadowolony z siebie. Nie pisałem. Widzę na sobie zaciekawiony wzrok setek ludzi, jak również ich współczucie.

W baraku wyciąga się do mnie setka dłoni, by wyrazić uznanie. Paczkowicze zapraszają na poczęstunek. Zapominam o bólu. Dwa tygodnie nie mogłem usiąść na czterech literach.

W styczniu 1945 zaczęły krążyć różne plotki o ofensywie radzieckiej. Po pewnym czasie usłyszeliśmy strzały. Otucha wstąpiła w nas. Niestety, na kilka godzin przed przyjściem wojsk radzieckich wywlekli nas z obozu i pieszo powędrowaliśmy do swego obozu macierzystego w Gross-Rosen. Pozostali tylko chorzy. W pobliżu baraków z chorymi /ok. 800 ludzi/ wykopano dwa duże doły. Pozostało z nimi 12 SS-manów. Łatwo odgadnąć, jaki los spotkał chorych.

Marsz do Gross-Rosen /zygzakowata droga wynosiła około 150 km/ trwał 4 dni i był początkiem strasznej makabry, jaką przeżyli więźniowie podlegający ewakuacji na skutek przesuwania się frontu wschodniego. Tylko część najsilniejszych przetrzymała straszną próbę. Wszyscy słabi padli z trudów, kijów lub od kul niemieckich.

Ewakuacja

18.I.45 r. instalowano jeszcze u Kruppa maszyny zrabowane w Polsce. Obniżało to realność pogłosek o szybkim zbliżaniu się frontu. Jednak już 19.I. w nocy raptownie przerwaną pracę, a 20.I. o godz. 16 cały obóz w liczbie 5000 ludzi pieszo wyruszył w drogę. Zakłady Kruppa z 5000 maszyn, sporą ilością surowca i gotowego sprzętu pozostały dla zdobywcy terenu.

Wyposażenie nas na drogę było różne. Niektóre baraki rozdały po 1 kg chleba, 15 dkg margaryny i 25 gr machorki, inne nie zdążyły wydać nic, podczas gdy magazyn zawierał dużo chleba, kiełbasy, cukru, sera, a nawet ciastek i cukierków. Wszystko to było przeznaczone dla esesmanów, którzy ze strachu zostawili całą żywność. Mnie zaprosili do swej paczki D. i F. Mieli oni bliskie stosunki z magazynem, przeto ich woreczek wystarczył nam na cztery dni drogi. Mogliśmy ponadto wspierać najbardziej potrzebujących.

Już po 3-4 godzinach marszu najsłabsi zaczęli padać na drodze. Zostali oni bez skrpułów zastrzeleni przez esesmanów. Do pierwszego noclegu, tj. w ciągu 6 godzin marszu, esesmani dobili 74 więźniów.

Do stodoły ziemianina, mogącej pomieścić maksimum 1500 ludzi, wciśnięto, wśród krwawych bójek, nieopisanego zgiełku, łamania rąk, nóg, rozbijaniu głów kijami i rewolwerami, około 3500 ludzi. Około 1500 więźniów, a w tej liczbie i ja, nocowało na śniegu. Temperatura wynosiła - 20°C i wiał dość silny wiatr. Siedem godzin oczekiwania i dalszy marsz!

21.I.45 r., skoro świt, wypędzono nas na dziedziniec majątku. Optymiści ludzili się nadzieją, że dostaniemy coś do jedzenia. Wszystkich spotkał zawód, gdyż nawet zimnej wody napić się nie pozwolono. Ruszamy w dalszą drogę głodni, niewyspani, zmarznięci. Słychać już dość często strzały. To dalsze ofiary kul niemieckich. Biedacy, którzy stracili swe siły w pracy na rzecz Niemiec, zostali bez litości zamordowani, gdy nie byli zdolni do dalszego marszu. W dniu tym zamordowanych zostało kilkuset więźniów.

Drugi nocleg - podobny do pierwszego. Ten sam brak miejsca, te same walki, nie mniej trupów. Osobiście tym razem trafiłem lepiej, zdobywając miejsce w szopie na drewno. Omal nie padłem jednak z ręki esesmana. Dla otwarcia drzwi szopy potrzebny był drązek, jaki zauważyłem na pobliskim kurniku. Sięgnąłem po niego.

Konwojent rzucił się do mnie, wymierzając cios kolbą w prawą skroń. Odruchowo zasłoniłem się dłonią, łagodząc siłę uderzenia. Esesman uderzył mnie w lewą skroń. Było to dotkliwe, lecz, jako nieporęczne, nie śmiertelne. Upadłem, ale po chwili odzyskałem przytomność. Przez dłuższy czas odczuwałem ból w lewej części głowy, a głównie skroni.

22.I.45 r. o godz. 6 pobudka i dalszy marsz. W marszu udało mi się napić wody. Przyniosło mi to pewną ulgę. Natomiast głód stał się tak dotkliwy, że elementy bardziej ryzykanckie, nie zważając na kule i kolby niemieckie, rzucały się grupami do przydrożnych domów prywatnych, rabując żywność. Zastrzelenie kilkunastu "rabusiów" nie powstrzymało dalszych. Zresztą kalkulowali słusznie: na jedno wyjdzie umrzeć od kuli padając po drodze z głodu, czy też z powodu rabunku. W ostatnim przypadku ginęli nie wszyscy, gdy w pierwszym nie ocalałby nikt.

Zdarzały się wypadki, że więźniowie z postrzałem głowy po pewnym czasie podnosili się i chcieli iść dalej - wtedy dobijano ich. Zauważyłem niezwykłą determinację, z jaką poddawali się śmierci nieszczęśliwi więźniowie i obojętność, z jaką reszta współtowarzyszy patrzyła na ten niesłychany i bezprzykładny akt zbrodni. Jeden z biedaków upadł przed grupą miejscowych ludzi, przyglądających się przemarszowi, jakby u nich szukając ratunku. Czy sądzicie, że odezwał się choć jeden głos w jego obronie, w chwili gdy morderca esesman przykładał mu do skroni lufę rewolweru? Nie! Przyglądali się z ciekawością.

Inny znów doczołgał się ostatkiem sił do stopni kapliczki z wizerunkiem przedstawiającym Świętą Rodzinę. Po kilku minutach schody kapliczki zalane zostały krwią, płynącą z przestrzelonej głowy Polaka. Gęstość strzałów wzrastała się z każdą godziną. Do końca dnia marszu padło kilkaset osłabłych z głodu i trudu więźniów.

23.I.45 r. Co za radość! Rozdano nam po 1/2 litra zimnej wody i... po 1,5 kg chleba. Trzeba było widzieć uszczęśliwienie biedaków! Za ten ochłap gotowi byliśmy przebaczyć morderstwo tysiąca naszych kolegów. Głód jest cierpieniem strasznym. Tego dnia zasłabnąć i zabójstw było znacznie mniej niż dnia poprzedniego, bo tylko około 150. Za to nocleg z 23 na 24 był czymś nie do opisanie.

Do dwóch obór /bydło było ewakuowane/ wpędzono po około 2200 ludzi - było tak ciasno, że z trudnością można było stać. Po 3 dniach uciążliwego marszu i przeważnie bezsennych nocy rozgrywały się wstrząsające sceny o prawo i miejsce spoczynku. Nieludzkie ryki, piski, rżenie duszonych zlewały się w jeden rozpaczliwy głos. Wkrótce powstała taka duszność, upał i brak powietrza, że wszystko zaczęło się dusić. 2200 ludzi w rozpaczliwym wysiłku pchało się do drzwi, by zaczerpnąć powietrza, wytwarzając kłębowisko wzajemnie się tratujących, szarpiących pazurami i zębami zwierząt. To znów pojedyncze i choralne wołanie: "wody"! Inni chcieli podpalić oborę, lecz na szczęście nie mieli ognia.

Szczęśliwym trafem znalazłem się wraz z kilkunastu kolegami na poddaszu obory. Nie byłem objęty ruchami tej masy, sam jednak widok i głosy, jakie dochodziły z dołu, były tak straszne, tak przejmujące, że bliscy byliśmy obłędu. Sceny Dantego to nieudolna wyobraźnia. Naturalnie nocy tej nikt oka nie zmrużył, a rano trupów nawet nie liczono - było ich zbyt dużo.

W ostatnim dniu marszu, jak i w dniach poprzednich, strzały do dobijanych były również liczne; nie zwracano już na to uwagi.

24.I.45 r. o godz. 17, głodni i śmiertelnie znużeni, przyby-

liśmy do swego obozu macierzystego. Czy sądzicie, że przygotowano dla nas choć po kwaterce gorącej wody? Nie. Nie tylko gorącej, ale i zimnej dla nas nie było. Wpędzono nas do będącego w budowie baraku, bez drzwi, okien, podłogi, światła. Tu i ówdzie leżała kupa śniegu lub stała kałuża wody. Tu mamy mieszkać i spać. Na pow. 300 m² - 1000 ludzi, w tym około 100 "prominentów", tj. Niemców i ich "piplów", która to grupa, jako uprzywilejowana, zajmowała niewiele mniej miejsca niż reszta więźniów. Życie w tak wielkim tłumie i na tak małej powierzchni samo przez się jest tak uciążliwe, że bez towarzyszących w obozie "dodatków", jak głód, chłód, bicie i tysiące innych różnych szykan, jest piekłem, które wytrzymują tylko jednostki b. silne.

Najgorsze były noce. Przy najenergiczniejszym biciu i łamaniu kości przez władze baraku /z reguły Niemcy - zbrodniarze/ wszystkich nieszczęśliwych ułożyć się nie dało. Jedni leżeli na drugich. Co chwila wynikały na tym tle kłótnie, bójki i interwencje Niemców, którzy w ten sposób mieli pretekst do zabicia kilku biedaków. Korzyść z tego była podwójna: Niemcom pozostały porcje chleba, a nam trochę więcej miejsca. U dużej ilości ludzi przy tej okazji uległy zmiażdżeniu nosy, uszy, nastąpiły zderzenia skóry z twarzą, złamania kości. Rozbestwiony Niemiec nie patrzył, gdzie stawia swój pełen gwoździ, ciężki but. Po leżących pokotem ludziach biegał jak wściekły, bijąc grubym, ciężkim drągami na prawo i lewo.

Otrzymanie należytą porcji chleba lub zupy w tych warunkach było sztuką nie lada. Różni, silni w łokciach, spryciarze i ludzie bez skrupułów potrafili pobrać i dwa razy, inni po 2-3 dni nie jedli absolutnie nic. Ba, nawet wody nie było, i to nie tylko do napicia się, ale i do umycia. Śmiertelność b. duża. W takich warunkach żyliśmy do 10.II.45 r., tj. do następnej ewakuacji.

10.II.45 r. odgłosy walk rosyjsko-niemieckich słychać było coraz wyraźniej. Orientujemy się, że front przesunął się już na zachód. A może nas zagarną? Pewnej nocy pada rozkaz: "Wszyscy Niemcy i Volksdeutsche, zbiórka przy głównej bramie!" Uciekają! Zapanował radosny nastrój. Niestety, radość mija. Po godzinie Niemcy wracają. Siedzimy dalej. Jednak po kilku godzinach nagle zbiórka i wymarsz na stację kolejową. Jesteśmy zadowoleni, że wyjeżdżamy koleją; przy marszu piechotą zginęlibyśmy wszyscy. Jesteśmy tak wyczerpani, że już po paru godzinach większość padłaby na drodze.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.18

DROGĄ PRZEZ MĘKĘ TRAFIŁEM DO PIEKŁA

Właściwie nie wiem, dlaczego różni publicyści, a niekiedy i historycy, powstanie hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Fünfteichen /dzisiejsze Miłoszyce k/Oławy/, filii Gross-Rosen, uparcie wiążą z 1943 ro., a niektórzy podają wyłącznie rok 1944. Hitlerowska machina administracyjna była w 1943 r. wprawdzie jeszcze bardzo sprawna, ale czy naprawdę na tyle, żeby w ciągu jednego roku zdążyła wybudować, obsadzić kadrami i wypełnić więźniami ponad 100 obozów koncentracyjnych - filii grossroseńskich? Wątpliwe. Wątpliwe tym bardziej, że - jak wiadomo - Alfred Krupp już w lutym 1942 r. zapożyczył myśl Hitlera projektem, aby w jakiejś zacisznej okolicy wybudować nowe zakłady zbrojeniowe, sugerując zarazem, by do realizacji tego przedsięwzięcia zaangażować najtańszą siłę roboczą, a więc więźniów obozów koncentracyjnych.

Tego samego 1942 roku, konkretnie 8 sierpnia, w kwatrze Hitlera zapadła decyzja o rozpoczęciu budowy wielkich zakładów zbrojeniowych na terenie dzisiejszego Jelcza k/Oławy. Zainteresowanych bliższymi szczegółami w tej sprawie odsyłam do zeznań w procesie norymberskim Otto Saura, jednego z głównych współpracowników ministra uzbrojenia i amunicji III Rzeszy, Alberta Speera. Wraz z decyzją o budowie zakładów zbrojeniowych postanowiono wybudować w ich pobliżu filię obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, właśnie w Fünfteichen. I jeszcze w tymże 1942 r. ruszyły równoległe dwie budowy - zakładów zbrojeniowych i obozu koncentracyjnego. Byłem tam w owym czasie. Nie pamiętam już, czy był to październik, czy początek listopada, ale w tym mniej więcej okresie przywieziony zostałem z Będzina - via sosnowieckie więzienie - w około 500-osobowej grupie i pod silną eskortą SS, do obozu pracy przymusowej, czyli ZAL w miejscowości noszącej wówczas dwie nazwy: Markstadt i Laskowitz.

Już następnego dnia podjęliśmy pracę przy wykopywaniu buraków cukrowych na polu, na którym - jak się wkrótce okazało - miały stanąć hale produkcyjne, oraz przy stawianiu baraków, które stanowiły pierwsze elementy późniejszego obozu koncentracyjnego. Nie chcę tu opisywać morderczego tempa 14-godzinnej pracy, bo o Fünfteichen, a nie o Markstadt-Laskowitz zamierzam mówić. Jeżeli jednak zacząłem swoje wspomnienia niejako rysem historycznym, to tylko dlatego, że historia powstania tej grossroseńskiej filii jest stosunkowo mało znana i nie wiadomo dlaczego omijana przez historyków i publicystów parających się tą tematyką.

Latem lub wczesną jesienią 1943 r. ZAL Markstadt-Laskowitz zaczął ulegać likwidacji. Znalazłem się w pierwszej kilkusetosobowej grupie więźniów skierowanych do obozu koncentracyjnego Fünfteichen. Była to kilkukilometrowa droga przez mękę do piekła. W bloku Nr 26 królował blokowy Kannengieser, znany sadysta i zarazem złodziej, w którego procesie w 1946 r. przed sądem w Wałbrzychu byłem głównym świadkiem oskarżenia. Już jako häftling Nr 25584 pracowałem nadal przy budowie zakładów zbrojeniowych. Pamiętam dokładnie, że pierwsza gotowa hala produkcyjna, aczkolwiek nie wiem dlaczego, otrzymała nr 11. W tym samym dniu zaczęto wśród więźniów wyszukiwać specjalistów: ślusarzy, tokarzy, frezerów, kowali itp. Marzyłem o tym, aby dostać się

do pracy w hali produkcyjnej, pod dachem. Tym bardziej, że zapowiedziano, iż "kto będzie pracował u Kruppa, będzie otrzymywał dodatek w postaci 20 dkg chleba oraz zwiększony przydział marmariny i marmolady". Zgłosiłem się i... dostałem od blokowego potężnego kopniaka w podbrzusze, a następnego dnia poszedłem do swojej normalnej pracy. Pracowałem w tym czasie w firmie "August Nietsche - Tiefbaugesellschaft, Berlin-Tempelhof".

Już do końca życia będę pamiętał to przedsiębiorstwo zajmujące się wykonywaniem wykopów na budowie zakładów i układaniem rur. I nie dlatego, że praca była tu mordercza. Ciężka praca fizyczna, aż do utraty sił, była wymagana także w innych przedsiębiorstwach, w których później pracowałem, jak np. w firmie "Betonbau - Grün und Bielfinger" czy też "Schalhörn-Glogau". Ale tu, u Nitschego, więźniowie mieli wyjątkowego obermajstra - Franza Grodemanna z Berlina i majstra Karla Plieschke ze Strzegomia. Ten pierwszy lubował się w epychaniu do głębokich wykopów "leniwych" więźniów, a drugi był "łagodniejszy" - namiętnie bił łopatą każdego, który w jego przekonaniu był zbyt powolny. A że ciągle twierdził, iż wszyscy więźniowie są zbyt powolni - zajęcia mu nie brakowało. Grodemanna będę wyjątkowo długo pamiętał z dwóch zwłaszcza powodów. Pierwszy, dotyczy współwięźnia, który od kilku dni pracował razem ze mną. Wiem, że był krawcem z Sosnowca i chyba nazywał się Lewin. Miał wrzody na dwunastnicy. Razem kopaliśmy rów już na głębokości około 4 m. Mój kolega odrzucał właśnie piasek na powierzchnię, który ja łopatą wyrzucałem z drugiego rusztowania wewnątrz wykopu. W pewnym momencie Lewin przykucnął, bo chwycił go ból. Nie wiem, ekąd nagle pojawił się obermajster. Bez słowa nogą mocno pchnął więźnia, który z krzykiem spadł na dno wykopu, uderzając po drodze o belki wspierające deski na ścianach. Pracujący na samym dole więzień ledwie zdążył odekoczyć. Zanim pomyśleliśmy, co zrobić, Grodemann wrzasnął: "raus". Wyszliśmy z wykopu. Obermajster kazał nam nosić deski do umocowania ścian, a sam poszedł w kierunku stojących opodal dwóch esesmanów, którzy zajęcia nie widzieli. Po chwili rozmowy wrócił z nimi na miejsce zdarzenia. Cała trójka nachyliła się nad wykopem, a jeden z esesmanów zaczął głośno wołać: "hej, ty, wstawaj! Kiedy po kilku okrzykach więzień nie reagował, esesman chwycił leżący na deskach krótki kilof i cienał go do wykopu. Kiedy i tym razem więzień nie poruszył się, przywołano nas, czterech więźniów, i polecono Lewina wynieść na wierzch. Zrobiliśmy to wyjątkowo szybko. Nasz kolega nie dawał oznak życia. Ułożyliśmy go - jak nam kazano - za pryzmą piasku. Po skończonej pracy byliśmy zdziwieni, że polecono nam nieść zwłoki do obozu. Wcześniej bowiem tych, których zamęczono lub zabito na terenie budowy, grzebano gdziekolwiek, byle głęboko. Tyle że wcześniej esesman, w obecności innego Niemca z danej firmy, zrywał więźniowi numer i sporządzał notatkę. Tym razem było inaczej.

Następnego dnia Franz Grodemann był jakby inny, łaskawszy. Nosiłem właśnie deski z drugim kolegą, gdy kiwnął na mnie palcem. Zerwałem czapkę z głowy i podbiegłem do obermajstra, stając przed nim na baczność. Zapytał mnie, czy wiem, gdzie mieści się jego biuro. Gdy odpowiedziałem twierdząco, polecił mi zameldować się w polowej kuźni, obok biura. Pracował tam wyjątkowo przyzwoity Niemiec spod Berlina, Emil Hoppe. Przez 5 dni pomagałem mu w ostrzeniu stępionych kilofów, służących do gładzenia ścian w wykopie. Praca lekka, pod prowizorycznym dachem i bez nadzoru esesmanów. I byłoby nadal wszystko dobrze, gdyby nie skusił mnie

chleb z margaryną posypaną cukrem - przysmak psa obermajetra. Wprawdzie już na drugi dzień pracy w kuźni próbowałem podbierać psu żarcie, ale bez skutku. Udało mi się to w trzecim i w czwartym dniu, a w piątym Franz Grodemann przyłapał mnie na kradzieży. Zbity i skopany, z rozbitą wargą, wracałem do pracy przy wykopach, ale obermajster i tak okazał mi "wielką łaskę", nie meldując o kradzieży służbie obozowej ani nie wtrącając mnie później do wykopu. I to jest drugi powód nie pozwalający mi zapomnieć Franza Grodemanna.

Każdy były więzień Fünfteichen przyznał mi, że praca na budowie zakładów zbrojeniowych była daleko cięższa i niebezpieczna niż wewnątrz hal produkcyjnych. Wewnątrz więzień czuł się bardziej bezpieczny. Przede wszystkim był pod nadzorem cywilnym Niemców, co wcale nie znaczy, iż nie był kontrolowany przez służbę SS i że nie był narażony na szykany. Ale miał dach nad głową, ciepłą, konkretną zajęcia. Można śmiało powiedzieć, że więzień zatrudniony u Kruppa był w pracy bezpieczniejszy niż na terenie obozu. Na budowie zaś żyło się w ciągłym strachu, niemal bez przerwy pod podwójnym nadzorem: służby SS i niemieckich majstrów, których większość należała do SA. Tu często padało się z wycieńczenia i zimna, tu esesmani urządzali polowania na osłabionych więźniów, których dobijano, tu nie wolno było zamykać drzwi w polowych wychodkach podczas załatwiania własnej potrzeby, nie narażając się na strzał poprzez drzwi. Gdy wracało się po pracy do obozu w mokrym ubraniu i butach - to rano w tym samym stawało się na placu apelowym. Wewnątrz hal produkcyjnych nie było prawie możliwości kradzieży papierowych worków po cementcie. Na budowie zaś - na każdym kroku. Ciągłe kuszo, by ukraść, aby z worka, po wycięciu odpowiednich dziur, zrobić sobie dodatkową koszulę-ocieplacz. Bo więźniowie pracujący na zewnątrz przez większą część roku byli zziębnięci. Kradziono więc worki mimo groźby śmierci, a groźba wielokrotnie się spełniała, gdyż kradzież worka traktowano jako sabotaż na szkodę III Rzeszy.

Jeśli można mówić o ilościowo równej śmiertelności wśród więźniów Fünfteichen, wynikłej z warunków panujących wewnątrz obozu - to jeśli weźmie się pod uwagę warunki pracy poza obozem, należy stwierdzić, że ta śmiertelność była dużo wyższa wśród więźniów zatrudnionych przy budowie zakładów zbrojeniowych niż bezpośrednio przy produkcji. Jest to zupełnie zrozumiałe, nawet i z tego powodu, że większość więźniów, przynajmniej początkowo, pracowała przy wznoszeniu hal produkcyjnych.

Powiedziałem na początku, iż z ZAL Markstadt-Laskowitz, "idąc drogą przez mękę trafiłem do piekła". Tak. Fünfteichen było piekłem na ziemi. Więc kiedy jesienią 1944 r. znalazłem się w 300-osobowej grupie względnie młodych i silnych więźniów, przeznaczonych do przeniesienia do innego obozu, konkretnie do Walimia, wydawało mi się, że wygrałem szczęśliwy los. Tymczasem okazało się, że prawdziwe piekło miałem dopiero poznać. Ale to już zupełnie inna historia, aczkolwiek także w filii Gross-Rosen.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.19

PAMIĘTAM...

W marcu 1944 roku zostałem aresztowany podczas pełnienia funkcji komendanta placówki AK. Początkowo przebywałem w gestapo w Tomaszowie Mazowieckim na tzw. Zapilecku, skąd po ukończonym "śledztwie" przekazano mnie do więzienia, znajdującego się przy ul. Św. Antoniego.

Wkrótce zostałem przewieziony do obozu koncentracyjnego. Transport nasz składał się z około 1000 osób. Konwojentami byli Ukraińcy-esesmani, a ich stosunek do nas można bez przesady określić jako zwierzęcy. Bili nas na każdym kroku, rabując przy tym co lepsze rzeczy bo, jak mówili, tam, dokąd jedziemy, nic nam już nie będzie potrzebne. Dobre buty czy inną wartościową część garderoby musieliśmy ponadto oddawać z dobrą miną, w przeciwnym bowiem wypadku następowało kopanie i bicie po twarzy. Wagony towarowe, którymi nas przewożono, wysypane były niegaszonym wapnem, aby w razie ucieczki łatwo było nas rozpoznać. Po dosyć długo trwającej podróży transport nasz zatrzymał się na małej stacji Gross-Rosen.

Oszabieni podróżą oraz wycieńczeni z głodu i pragnienia, pędzani rykiem SS-manów, musieliśmy szybko wyskakiwać z wagonów na niską rampę. Z uwagi na związane do tyłu ręce, prawie każdy z nas walił się na twarz, rozbijając ją do krwi. Na tych zaś, którzy zrećźnie wyskoczyli z wagonu, nie robiąc sobie krzywdy, sypał się grad razów bykowcami. Wyładowano około 600 osób, sześciu więźniów zmarło w transporcie, reszta pojechała dalej w nieznane.

Po uformowaniu kolumny, ruszyliśmy piątkami w kierunku pobliskiej wsi, gdzie przyjęto nas obraźliwymi wyzwiskami. Po około trzech kilometrach marszu dotarliśmy do obozu, doznając już przy bramie sadyistycznego przyjęcia. Oczekujący wewnątrz SS-mani tłukli nas, czym tylko się dało, w wyniku czego prawie wszyscy mieliśmy ślady tego "powitania" w postaci ran, guzów i siniaków. Po tej czynności nastąpiło krótkie regulaminowe przyjęcie na placu apelowym i przygotowanie się do rewizji. W tym celu zmuszeni byliśmy rozebrać się do naga, a dwie grupy "rewidentów" przystąpiły do akcji. Pierwsza kontrolowała jamę ustną delikwenta, druga grupa sprawdzała odbytnicę. Do tego celu służyły ustawione na placu apelowym dwie żelazne beczki. Więzień musiał szybko i sprawnie podbiec, a następnie przewiesić się przez beczkę, twarzą ku ziemi. Po kontroli odbiegał na bok, a jego miejsce zajmował następny więzień.

Dla mnie osobiście kontrola ta wypadła niezbyt pomyślnie. Po niedawnym śledztwie w tomaszowskim gestapo ciało moje było prawie całe sine. Prócz tego wywiązała się początek gangreny obu ud, przeto nie byłem w stanie szybko i sprawnie zająć "honorowego" miejsca na beczce, jak to czynili moi młodzi i mniej skatowani koledzy. Dowlokłem się do beczki i ułożyłem twarzą w dół. Krótka kontrola i w wyniku silnego kopniaka momentalnie znalazłem się na ziemi twarzą do góry. Siarczysty kopniak był karą za niesprawne wykonanie rozkazu. Wreszcie pozbierałem się i przeszedłem do grupy zrewidowanych.

Następnie skierowano nas na blok 9 tzw. Zugangsblock, gdzie otrzymaliśmy paszaki i numer więźnia, który każdy z nas musiał

sobie przyszyć na bluzie po lewej stronie klatki piersiowej i na prawej nogawce spodni, tak aby był widoczny. Podczas mego trzydniowego pobytu w tym bloku, lekarz /?/ SS-man zakwalifikował pięciu z nas jako chorych i skierował do rewiru. Dostałem się na szóstkę, na blok chirurgiczny.

Jeszcze w bloku 9, przed wieczornym apelem, otrzymałem pajdkę chleba oraz porcję margaryny. W bloku chirurgicznym otrzymałem to samo. Zadowolony z dodatkowej żywności wierzyłem, że będzie mi tu znośnie; nie znałem jeszcze wtedy warunków obozowych. Tymczasem zainteresował się moją osobą rewirkapo, pełniący zarazem funkcję blockältestera, Kurt Wilbli. Wywołał on mój numer i spytał, dlaczego wziąłem chleb w rewirze, skoro już dzisiaj otrzymałem swoją porcję na poprzednim bloku. Początkowo próbowałem tłumaczyć, że w Gross-Rosen jestem zaledwie trzeci dzień i sądziłem, że jest to dodatek dla chorych. Widząc jednak, że kapo ryczy na mnie jak zwierzę, szybko połknąłem otrzymaną porcję, aby jej nie utracić, bo i tak kara mnie nie minie.

Wówczas Wilbli rozkazał mi uklęknąć na podłodze i oprzeć się o tył pryczy. Nagi, bo tak przebywali więźniowie w rewirze, ukląknąłem, a kapo żołnierskim butem kępał mnie klęczącego w brzuch i podbrzusze aż ustami pocięła mi krew. Wówczas nakazał zabrać mnie do umywalni, gdzie skierowano na mnie strumień wody z gumowego węża, co spowodowało omdlenie. Ostatkiem świadomości pomyślałem przez moment, że to już koniec, choć jak się później okazało, życie kołatało się jeszcze we mnie. Następnego dnia dostałem zapalenia płuc, a to, że przetrwałem, zawdzięczam jedynie wyjątkowej opiece doktora Kosibowicza, lekarza na VI rewirze, również więźnia politycznego z Będzina. Po dwóch miesiącach prymitywnego leczenia, bo takie tylko było dla nas dostępne, wyszedłem "zmuzułmaniały" i nadal chory.

Przydzielono mnie na blok 18. Grosrozeniacy wiedzą, że pobyt w tym bloku należał do b. trudnych. Był to blok przeznaczony dla Niemców. Przebywali tam w większości "zieloni", czyli kryminaliści. Na każdej z dwóch sztab było po sześciu Polaków. Do naszych obowiązków należało ścielenie Niemcom łóżek, utrzymywanie czystości w bloku i wszelkie inne posługi. Czynności te wykonywaliśmy w większości obok naszych codziennych zajęć. Niemcy szykanowali nas w różny sposób, np. do ubikacji wolno nam było wejść tylko wtedy, gdy robiliśmy tam porządek, a do sztaby tylko wtedy, gdy trzeba było iść spać. Wieczorem musieliśmy wszystkim Niemcom czyścić trepy. Mała usterka w pościeleniu łóżka, źle oczyszczony trep lub znaleziona przez blokowego na podłodze najmniejsza choćby słomka, powodowało bicie nas po twarzy, kopniaki lub karne ćwiczenia. Niemcy nienawidzili nas podwójnie: za to, że jesteśmy Polakami, a w dodatku więźniami politycznymi. Takie były moje warunki mieszkalne. A jak przedstawiała się praca?

Przydzielony zostałem do tzw. Stehkommando. W większości przebywali w nim słabsi i chorzy więźniowie, których zadaniem było stać bezczynnie przez 10-12 godzin, bez chwili wytchnienia. Pilnowali nas funkcyjni i gdy tylko ktoś usiadł, zaraz dostawał baty. Z okresu "pracy" w Stehkommando przypominam sobie zdarzenie, którego byłem naocznym świadkiem. Pewnego dnia przywieziono do obozu ośmiu Żydów i umieszczono na 8. bloku. Ponieważ w tym czasie w samym Gross-Rosen nie było w ogóle Żydów /przechodzili tylko przez przyjęcie i kierowani byli do Ausserkommand/, przeto wzbudzili ogromne zainteresowanie wśród więźniów. Kim byli i dlaczego przywieziono ich do Gross-Rosen, nie dowiedziałem się. Wkrótce wypro-

wadzono ich przed blok i kazano im parami boksować się. Jeden z SS-manów krótko przyglądał się walce i przerwał ją, oznajmiając delikwentom, że jeśli nie będą walczyć naprawdę, to on im pokaże, jak należy się bić. Nieszczęśnicy, obawiając się utracić życie, poczęli bardziej serio wykonywać rozkaz. Wynik był smutny. Połowa z walczących legła na ziemi półprzytomna. SS-mani, rycząc z uciechy, utworzyli z trzymających się jeszcze na nogach nowe pary i nakazali dalszą walkę. Ostatecznie na placu boju pozostał jeden tylko Żyd. Po skończonej "zabawie" wszystkich walczących zabrano, prawdopodobnie do krematorium.

Dzisiaj jest to Jelcz

W sierpniu 1944 roku przeniesiony zostałem z Gross-Rosen do podobozu w Fünfteichen. Zostałem zatrudniony w zakładach Kruppa, zwanych Bertha-Werke. Były one oddalone od obozu o około 2-5 - 3,0 km. Więźniowie pracowali na dwie zmiany-szychty przez okrągłe dwadzieścia cztery godziny. Mnie przydzielono do grupy budowlano-porządkowej, pracującej w zasadzie tylko na dziennej zmianie. Do naszych obowiązków należało obsiewanie trawą ochronów przeciwlotniczych, wyładunek cegły, cementu i innych materiałów budowlanych.

Pewnego dnia, rozładując materiały w nowej hali produkcyjnej, zobaczyłem w ażurowych skrzyniach nowe maszyny, tzw. obrabiarki, na których można było odczytać "Made in USA". Wtedy załamałem się całkowicie. Nie wierzyłem, by w warunkach amerykańskich dostaw dla Niemców można było przetrzymać piekło obozowe. Jako Haftling z tzw. Postepery /areszt paczkowy/ ważyłem zaledwie 41 kg przy wzroście 186 cm. Od marca do września, tj. w ciągu pół roku, utraciłem 45 kg wagi.

W obozie Fünfteichen była duża ilość Żydów, przeważnie z Polski, Węgier i Rumunii. Szczególnie utkwił w mej pamięci polski Żyd, ponoć syn zamożnego współwłaściciela jednej z kopalń na Górnym Śląsku. Jako oberkapo znany był na terenie fabryki ze swego okrucieństwa. Był postrachem wszystkich więźniów, na jego widok miało się śmierć w oczach. Mimo niskiego wzrostu bił bardzo silnie. Pewnego dnia tenże oberkapo uciekł. Przypuszczam, że było to "posmarowane" z zewnątrz dużą ilością złota i innych kosztowności. W pogodny, jesienny wieczór 1944 roku miał on odebrać jak zwykle raport od poszczególnych kapów i forarbeiterów o stanie liczbowym komand roboczych przed opuszczeniem terenu fabryki i udaniem się do obozu w Fünfteichen. Ceremonia ta nie mogła się odbyć, ponieważ, jak stwierdził komendant konwoju SS, oberkapo gdzieś się zażył. Po przeszukaniu terenu fabryki nie odnaleziono go - zniknął w sobie tylko wiadomy sposób. W odwet za tę ucieczkę zastosowano wobec nas karne ćwiczenia: padnij, powstań, żabka itd. Represje te jednak nie pomogły i oberkapo nie odnalazł się. Jak się później okazało, wyjechał z terenu fabryki samochodem osobowym, w towarzystwie oficerów i prawdopodobnie przebrany za jednego z nich. Rekwizytem przypominającym nam tego kata było jego ubranie znalezione w jednym ze schronów przeciwlotniczych. Były to prawie nowe pasiaki ze starannie wyszytym niskim numerem, którego jednak nie zapamiętałem.

Następnie pracowałem w komando, którego zadaniem było grodzenie drogi prowadzącej z obozu do zakładów Bertha-Werke. Była to dla nas bardzo ciężka praca, szczególnie wyczerpujące stało się przenoszenie bębnow drutu kolczastego. Dozór popędzał nas stale z uwagi na pilność robót, związanych z koniecznością zabezpieczenia trasy przemarszu do pracy i z powrotem. Po kilku dniach zach-

rowałem na podwójną flegmonę lewej nogi, wobec czego przeniesiono mnie z bloku 36 na rewir, gdzie przeprowadzono mi operację.

Śmiertelność wśród więźniów była bardzo duża, powodowana między innymi skandalicznym stanem sanitarnym obozu. Panowały tu różne choroby z powodu totalnej wszawicy. W Gross-Rosen dwa razy w tygodniu przeprowadzano przegląd bielizny i nie pamiętam wypadku, aby u więźnia znaleziono wesz. W Fünfteichen była ich cała masa, a ponadto było wszędzie brudno. Kąpiele, najczęściej pod zimną wodą, nie dawały pozytywnych rezultatów, a długie wyczekiwania w kolejce powodowały masowe zapalenia płuc i dużą śmiertelność z tego powodu. Tak zwane odkażanie bielizny, trwające zaledwie kilka minut podczas kąpieli więźnia, nic nie dawało - bielizna i odzież zdążyły w tym czasie ledwie się podgrzać.

W styczniu 1945 roku przebywałem w dalszym ciągu w rewirze, niezdolny do żadnego ruchu, z otwartymi ranami po drugiej operacji podwójnej flegmony prawej nogi i z wysoką gorączką. Przeprowadzano wtedy ścisłą selekcję wszystkich chorych, z których 80 procent skierowano do różnych bloków poza rewirem. Pozostałych około 50 ciężko chorych, wśród nich byłem i ja, spędzono na jeden blok rewirowy. Nie orientowaliśmy się, o co chodzi, ale wkrótce dowiedziałem się, że obóz będzie likwidowany, rzekomo ze względu na zakończenie prac w fabryce. Wszyscy więźniowie mają iść do macierzystego obozu w Gross-Rosen, a ciężko chorych miały zabrać samochody. Przez dwa dni nie otrzymaliśmy żadnego pożywienia.

Jak się później okazało, obóz był całkowicie ewakuowany, z wyjątkiem nas ciężko chorych i jednego wartownika z volksturm, który pilnował całości. Nie mieliśmy już żadnego wyjścia. Kto tylko był w stanie, zwlekał się z pryczy i szedł do kuchni szukać pożywienia. W magazynie kuchennym znaleźliśmy wiadro marmelady i kilka kilogramów kaszy manny. Wszystko to podzieliliśmy równo na pięćdziesięciu chorych. Przy plądrowaniu magazynów SS znaleźliśmy też nowe pasyaki, a w kantynie trochę spleśniałego chleba i tytoń.

W międzyczasie zmarło kilku ludzi, toteż wynieśliśmy ich zwłoki przed rewir. Gdy to zobaczył nasz strażnik, kazał nam przenieść zwłoki za druty, gdzie przy zagałniku, w wykopanym już dole, znajdowało się wiele trupów, całkiem nagich. Swoich zmarłych umieściliśmy w tej mogile, pozostawiając ją z braku sił nie zasypaną. Po powrocie do rewiru stwierdziliśmy, że naszego strażnika już nie ma. Zwyczajnie uciekł. W tej sytuacji wielu z nas zastanawiało się, co robić, wszak już byliśmy wolni. Czy wyjść poza bramę obozu i cieszyć się wolnością jak dzieci najpiękniejszą zabawką, czy pozostać nadal na rewirze w oczekiwaniu na pomoc z zewnątrz. Emocja i radość z faktu przeżycia obozowego koszmaru skłaniały nas do wyjścia naprzeciw wolności, rozrządek natomiast nakazywał nam pozostać jeszcze za drutami ze względu na brak sił.

Gdy w dniu następnym zobaczyliśmy wchodzących na teren obozu żołnierzy radzieckich z grupy zwiadowczej, wiwatów i radości nie było końca. Nasi wyzwoliciele udzielili nam pierwszej niezbędnej pomocy, dzieląc się z nami wszystkim, co mieli przy sobie.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.3.3.14